

Jan Jakub Koloski

# Pograbek

1

Była wiosna. Pograbek szedł drogą pod lasem. W krok za nim postępowało konisko z zabielmionymi oczami. Pograbek pogwizdywał. Przyglądał się drzewom ocieźałym od deszczu. Konisko na połużnionym postronku deptało ziemię do rytmu.

Wiosna była podła. Jedna z takich, w które niebo traci umiar i zapada się w pola deszczami, w drogi błotem, w duszę — smutkiem.

Pograbkowi było smutno. Tak, jak tylko może być człowiekowi o marnej postaci i nikczemnym zajęciu. Pograbek prowadził do lisów podupadłe zwierzęta. Okolica była niebogata i odległa od miejskich bakutilów. Kiedy zwierzę dobiegało swoich dni i nie nadawało się już ani do roboty, ani na mięso — wołano Pograbka. Ten za niewielką opłatą odprowadzał to konia, to krowę w sobie tylko znane miejsce. Tam otwierał zwierzęciu żyłę na szyi i miłym głosem przyzywał lisy. Przybywały całymi rodzinami. Lubiły głos Pograbka, bo po nim wracały do nor z kałdunami ciężkimi od świeżego mięsa.

Tego dnia trafił się Pograbkowi kościsty Kasztan z wygiętym grzbietem i oczami zaciągniętymi błoną. Szedł posłusznie, wypuszczał z nozdrzy parę, grał śledzioną jak młody bachmat. Pewnie czuł już dokąd idzie i resztką sił — oszukiwał, tumaniał, odmładzał się. Na darmo. Pograbek nie słuchał. Jego uwagę zajął człowiek, który nadchodził od drugiej strony drogi. Był nim stary Kaczuba. Pograbek poznał od razu. Zagadał z daleka:

— Niech będzie pochwalony, Kaczuba.

— A, niech tam nawet i będzie... — odpowiedział stary i kiedy zrównali się, zatrzymał się do rozmowy.

Miał zszarzałą twarz, siwą szczecinę na policzkach, wyblakłe oczy schowane pod nawisłymi powiekami i zetlałe odzienie.

Postawił na ziemi parciany worek, przydepnął go podeszwą namięklego filcaka, spojrzął na Pograbka.

— Coś markotnie odpowiadacie, Kaczuba — dołożył Pograbek następne słowa.

— Dzień taki — mruknął Kaczuba pod nosem i by upewnić Pograbka o racji — rozejrzał się dookoła.

— Jak każdy — odpowiedział Pograbek i też rozglądnął się, by dać dowód, że racja jest jego.

— Może jak każdy, może nie jak każdy... Dla mnie tam... ostatni.

— Idziecie się powiesić?

— Ano... idę.

— Znaczy, zdecydowaliście się na koniec.

— Ano, zdecydowałem.

— Długoście się zdecydowali.

— Ano, trochę długo.

— Aleście się zdecydowali...

— Ano, zdecydowałem się...

— Pokażecie postronek? Mówią, że szczęście dotknąć postronka wisielca.

— Głupiś. Dopiero jak się obwiesi — odpowiedział z wiedzą Kaczuba, sięgnął jednak do worka i wydobyl z niego konopny postronek. Podał Pograbkowi.

— Zgrabnie spleciony — ocenił Pograbek — widać, że od Szymorka ze Sługocic.

— Zgadłeś. Od Szymorka.

— Teraz to wyście głupi Kaczuba — obruszył się Pograbek. — Ja nie muszę zgadywać. Dziesięć lat zwierzęta prowadzam... to co mi zgadywać. Od razu widzę.

— Zapalimy? — przerwał Kaczuba na zgodę. Sięgnął do wyblyszczonej czapki i wysupłał spod podszewki zapotniałe papierosy. Wytłumaczył się szybko:

— Zwilgotniały w czapce. Miękkie się zrobiły. Widzisz, na co mi przyszło?...

— Znaczą, niby na co? — nie zrozumiał Pograbeł.

— Że papierosy muszą w czapce nosić, bo mi synówka kieszenie zaszyła.

— Przecie już parę lat wam zaszywa, żebyście łap nie wsadzali i nie stawali w robocie.

— Prawda. Ino że teraz to mi szpagatem zaszyła. Nawoskowanym. Jak rymarz podogonie na kobyle. Za nic nie rozprujesz — zademonstrował — to i papierosy w czapce noszę.

Zamilkli jak należało w takiej chwili. Każdy zaciągnął się dymem, przepuścił przez wątpia, wypuł tytoń, charknął. Pierwszy odezwał się Pograbeł:

— Na jakim drzewie będziecie się wieszać? Mówią, że na grabie dobrze.

— Na grabie? Kto takie głupoty rozpowiada?! A jak listonosz dwa lata temu się wieszał, to co — na grabie?

A elegancko się powiesił. Sztywno...

— No, niby elegancko...

— A widzisz. A przecie na brzozie się powiesił. Brzoza miękkiejsza, giętsza. Jak szarpniesz, to odda trochę, podpuści do góry, wyrówna. Brzoza delikatniejsza...

— Może i prawdę mówicie. Może i brzoza delikatniejsza — powtórzył Pograbeł bez przekonania.

— Nie na darmo dyszle z brzozy... — pomagał sobie uwierzyć.

— To jak już przy dyszlach jesteśmy, powiedz ty mi Pograbeł — prawda to, że wisielcowi staje?

— Co niby staje?

— No, głupiś... Pyta staje.

— A, pyta... No, podobno staje. Listonosza jak dwa lata temu zdejmolem, to mu stała.

Kaczuba ożywił się. Przez szarą twarz przebiegł uśmiech.

— Znaczą, że i mnie staremu, jak już będę wisiał...

Nie wytrzymał. Roześmiał się w głos. Za chwilę zawtórował mu Pograbeł:

— A kto tam wie... Może i wam stanie na stare lata.

Poszedł śmiech po lesie — serdeczny, zdyszany, pośpieszny. Na koniec, bardziej ze zmęczenia niż z innej potrzeby — zamilkli. Po chwili odezwał się Kaczuba:

— Konia do lisów prowadzisz?

— Ano, prowadzę.

— Który to już raz?

— Trzydziesty siódmy.

— Z Kuścyczką pójdziesz?

— Z Kuścyczką. Jak zawsze.

— Dalej zaciążyć nie może?

— Ano, nie może.

— A ogolić przyjdiesz do trumny?

— Jak mnie wasza synówka zawoła...

— Sam przyjdź. Ona nie zawoła. Grosza jej będzie żal. Sam przyjdź, bo jeszcze gotowa ochemdać jak wieprza i pokaleczyć.

Sięgnął do czapki.

— Pięćdziesiątkę uzbierałem... Przyjdź ogolić. Przyjdziesz?

— Przyjdę.

— No to idę.

— To idźcie. Z Bogiem...

— To idę.

— To idźcie.

Kuścyczka siedziała przy rogu chałupy na odwróconym świńskim korycie. Wspierała się grzbietem w założone na zrąb belki i nożem w drewnianej oprawie strugała coś z mozołem. Szło jej niesporo, bo strugała po babsku, ku sobie, ostrzem w kierunku brzucha. Cały podołek założony miała białym, lipowym wiórem.

W okalającym ją pejzażu wszystko było do siebie podobne. Szarosiwa stodołka, szarosiwa obórka, szarosiwe błoto, które ani razu nie zakrzepło tej wiosny. Tylko chałupa wybijała się bielą, a nawet nie tyle bielą, co siwością wapiennej skorupy.

W takim pejzażu jawiła się Kuścyczka zwyczajnie. Tak, jak jawić się może spracowana, trzydziestoletnia kobieta o pospolitej urodzie.

Na wprost siebie miała Kuścyczka omszały płotek prowadzący jak strzełił do furtki, uczepiony do kilku nisko rozłożonych antonówek i jednej koszteli. Za płotkiem ciągnęły się pola, aż po horyzont przymknięty ścianą lasu. Stamtąd, od pół nadszedł Pograbeł.

Kiedy wszedł na podwórko i zawarł za sobą bramę — zawołał z daleka:

— No to przyprowadziłem nareszcie...

Kuścyczka podniosła głowę. Jednym spojrzeniem oceniła konia.

— Nie taki lekki jak mówiłeś... Nie taki lekki.

— Eee tam... Chudzina... Jak szedł, to tak mu wątpia grały...

Nie dokończył. Podprowadził konia pod studnię, odpiął kantar, wyjął kielzno z pyska. Spragnione zwierzę przypadło do wiadra z wodą. Kuścyczka wstała, otrzepała fartuch i podeszła do Pograbka.

— Ile? — zapytała z zaciekawieniem.

— Sto dwadzieścia.

— Nie szło więcej?

— Nie szło.

— A próbowałeś targować?

— Nie próbowałem.

— To skąd wiesz, że nie szło?

— Bo nie szło i już.

Kobieta wzięła się pod boki. Spojrzała z ukosa.

— Bo nie szło i już... bo nie szło i już... — przedrzeźniała Pograbka. — Mądrała. A ja tu zelówkę do buta strugam jak jaki szewc, a jemu nie szło się targować! Nigdy nie nazbieramy!

— Nazbieramy, Kuścyczka.

— Nie nazbieramy.

— Nazbieramy — powtórzył z uporem Pograbeł tonem, który kończy rozmowę. Kuścyczka odwróciła się.

— Nazbieramy, nazbieramy... Tyle czasu już zbieramy...

Odeszła kulejąc w kierunku chałupy. Przy progu zatrzymała się.

— Jadłeś? — zapytała.

— A niby gdzie?

Wzruszyła ramionami i zniknęła w sieni.

### 3

Przyszedł wieczór. Za oknem jazgotały psy, ale daleko gdzieś. Pograbeł z Kuścyczką leżeli w łóżku, pod siwą, odętą pierzyną. W izbie było półciemno. Mrok rozjaśniała tylko naftowa lampa z blaszanym kołnierzem. Kuścyczka zbierała się do powiedzenia czegoś ważnego. Szykowała sobie słowa mruczając coś po cichu. Na koniec odezwała się:

— Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

— Jest, jest... — odpowiedział Pograbeł, żeby coś powiedzieć.

— Nie ma sprawiedliwości...

— Jest, jest.

— A z moją nogą? A co ja komu winna? A że zaciążyć nie mogę — to jest sprawiedliwość?

— Ze zaciążyć nie możesz, to przecież moja usterka...

— A widzisz... A co ty komu winien, że nasienie masz słabe?

— Prawda. Co ja komu winien? Nie ma sprawiedliwości na tym świecie — dał się przekonać Pograbeł.

Zamilkli na chwilę. Kuścyczka szykowała nowe słowa do czegoś ważnego, ale zrezygnowała i odezwała się zwyczajnie:

— Do dnia pójdziemy?

— Do dnia.

— To pora spać.

— To śpij, śpij.

Zasnęli.

### 4

Ruszyli o ćmoku. Dnienie złapało ich już na skłonie Górzyska, w gęstym jak smoła lesie. Światło z mozołem przedarło się przez świerki, zasmużyło las, obudziło zwierzynę.

Pierwszy szedł Pograbeł z postronkiem. Za nim szło konisko i dopiero ze dwa metry z tyłu kuśtykała Kuśtyczka z worem uwieszonym na plecach. Patrzyła pod nogi, omijała gałęzie, szykowała przemowę.

Wkrótce odezwała się:

— A jak życie przychodzi?

— Niby jakie życie?

— No, ludzkie.

— Znaczą, jak się człowiek stwarza?

— No, tak. Jak się stwarza?

Pograbeł przestraszył się. Miał wiedzieć lepiej, a nie wiedział. Nabrał powietrza w płuca.

— To pewnie tak, jak z ziemią na przednówku... — zaczął niepewnie.

— Głupiś — przerwała Kuśtyczka — jak tak masz tłumaczyć, to już lepiej wcale nie tłumacz. Jak z ziemią... A kto niby ziemię liga? Ty mi wytłumacz, jak to jest później, po liganiu, jak już nasienie jest we mnie.

Pograbeł milczał. Nie umiał wytłumaczyć. Opuścił głowę, ale podniósł ją zaraz, bo Kuśtyczka podbiegła parę kroków, zrównała się z nim i sama zabrała się do tłumaczenia:

— Ja tak myślę, że ten twój zaplennik wlatuje na takie sitko, na taki przetaczek z oczkami. One, te oczka nie są równe. Jedno jest większe, drugie jest średnie, trzecie jest mniejsze. To on wtedy, ten zaplennik, znajduje takie oczko... no, taką dziurkę, do której pasuje.

— A nie wleci do większej? — zaniepokoił się Pograbeł.

— Nie wleci. Jak ma wlecieć, kiedy to Pan Bóg wszystkim kieruje.

— Pan Bóg? Wszystkim? — zdziwił się Pograbeł.

— Głupiś. A niby kto?

— Racja. Niby kto?

— To jak już wpasuje się w tę swoją dziurkę, to tam jest coś w podobie drożdży, żeby rosło jak ciasto...

— Ciii — przerwał Pograbeł i zatrzymał się gwałtownie.

— Co?

— Słyszysz?

— Ale co?

— Czarny dzieciół. Na nieszczęście.

— A skąd wiesz, że on czarny?

— Wiem.

— A że na nieszczęście?

— Też wiem.

## 5

Było po południu. Pograbeł i Kuśtyczka siedzieli na polanie, pod szczytem Górzyska, w miejscu dzikim i nieprzystępnym. Dookoła białąły końskie czerepy i kości porozwlekane przez zwierzynę. Tu i tam trafiała się krowia czaszka przerośnięta mchem czy drobne kości lisa zagryzionego w walce o ochłapy.

Pograbeł z Kuśtyczką siedzieli na powalonym świerkowym pniu. Odpoczywali. Konisko ze spienionym pyskiem i parującymi bokami stało dalej, w głębi polany. Po dłuższej chwili Pograbeł podniósł się i wydobył z kieszeni zgrabny scyzoryk w szylkrecie. Poszedł do konia, zaszedł go od zady, poklepał po boku, przejechał dłonią po zapadłym grzbiecie, doszedł do szyi, zgrabnym ruchem przeciął żyłę niedaleko od ucha, wyczyścił ostrze o grzywę i zamykając koło — wrócił do Kuśtyczki. Usiadł obok.

Kobieta kończyła wydobywanie z wora bochna chleba i pęta kaszanki. Z wprawą przycisnęła bochen do brzucha, potem obracając nim wykroiła pełną skibę. Razem z kaszanką podała Pograbkowi. Zaczęli jeść — w milczeniu, niespiesznie.

W tym czasie staremu Kasztanowi zmiękły nogi w kolanach, zaszumiało w uszach i zakręciło się w niebie. Przykleknął. Tego starczyło Pograbkowi. Przelknął kęs, przyłożył do ust otwartą dłoń i miłym głosem zawołał lisy.

Kasztan walczył jeszcze, ale ciężki łeb nie chciał słuchać. Zwiesił się na bok, pociągnął do ziemi, zadudnił o poszycie. Za nim poszły tylne nogi. Żył jeszcze, kiedy przyszły lisy. Nie widząc, nie czując już prawie, Kasztan chciał kopnąć którego, trącić przynajmniej kopytem. Niech wiedzą na koniec, kto tu większy i ważniejszy. Wyszło z tego niewiele. Kilka zaledwie muśnięć o grubą lisią sierść i nabrzmiące mchy. Zdechł za chwilę.

Zdążyli przed zmierzchem. Kiedy bezlitosny ómok opadł na wioskę, siedzieli już przy stole powleczonym ceratą. Kuścyczka wsparła brodę na dłoniach i zapatrzyła się na Pograbka. Chłop rozłożył na stole szewskie narzędzia. Zabrał się do mocowania lipowej zelówki do odświętnego trzewika Kuścyczki. Szło mu dobrze. Widać było, że dłonie, choć pogrubiłe od roboty, były zręczne i szybkie. Ponakłuwał zelówkę szpilorkiem na całym obrzeżu, przygotował druciane pętliczki i szybko przymocował nimi drewno do skóry. Odezwał się:

— Czasem to mnie taki sen nachodzi, że te wszystkie konie, które wyprowadziłem na śmierć, zbierają się do stada i to one — te liche koniska z wyschniętymi pacierzami i zarobaczywiałą skórą — że to one mnie, Pograbka na Lisią Górę prowadzą. Na śmierć...

— Dobrze śmierć przyśnić. Dobrze przyśnić... — uspokoiła Pograbka Kuścyczka.

— Dasz trzewika przymierzyć?

— A po co ci to teraz?

— To może pieniądz policzymy?

— To już lepiej trzewika przymierz. Po co liczyć? Sama wiesz ile jeszcze brakuje. Przecież sama wiesz, to po co liczyć? Już lepiej trzewika przymierzyć.

To powiedziawszy, wziął Pograbek trzewika ze stołu, przyklęknął przed Kuścyczką i pomógł jej włożyć podwyższonego przez siebie buta.

— No to się przejdź teraz — powiedział.

Kuścyczka wstała od stołu. Przemaszerowała przez izbę, starając się kuścikać jak najmniej. Zawróciła i jeszcze raz przemaszerowała przed Pograbkowym nosem, stukając przy tym o podłogę lipowym podbiciem.

— Równiej ci idzie. Dużo równiej. Jak sukienka będzie długa i jeszcze się zelówkę oblakuje — to nikt nie zauważy. Nie ma prawa.

— Nikt nie zauważy?

— Nikt. Nie ma prawa. Przez cały kościół przejdiesz i nikt nie zauważy.

— A stukanie?

— Gumą ci jeszcze podbiję. Nikt nie zauważy i nie usłyszy.

Kuścyczka ucieszyła się. Usiadła przy stole i ciepłej jakoś spojrziała na Pograbka.

— Czasem przyjdzie taki lepszy dzień jak dzisiaj, że tak człowiekowi lżej na duszy. Żeby jeszcze wyszło tak, jak umówione. Jak ty myślisz Pograbek? Wyjdzie jak umówione?

— Wyjdzie.

— A jak nie wyjdzie?

— Wyjdzie jak umówione. Dwa razy było umawiane.

— A pójdziesz ty niedługo Pograbek do Stasiny i umów jeszcze raz. Co trzy razy, to nie dwa. Pójdiesz?

— Pójdę.

— To pójdziesz na pewno?

— Niedługo pójde.

— To pójdziesz Pograbek, pójdziesz...

## 7

Przyszła noc smolista. Wiatr uderzył w okiennice, poskrzypiał nimi, postraszył, na koniec przeniósł się na drzewa. Jakieś psy jazgotliwe przebiegły przez podwórko, pomarudziły ochryple, pokłóciły się z Pograbkowym Burkiem, zapadły się w pola.

Pograbek nie spał. Leżał na wznak z dłońmi podłożonymi pod głowę. Wsluchiwał się w nocne głosy i kiedy trochę przycichły, odezwał się do Kuścyczki:

— Kuścyczka...

— Aha?...

— Śpisz?

— Aha.

— Znaczy, nie śpisz?

— Śpię...

— To powiedz mi jeszcze jak nie śpisz, powiedz jak to później jest z tym moim zaplennikiem, jak już wpadnie w to jego oczko?...

— W jakie oczko?

— No, w tym twoim sitku...

— Aaa, w sitku... No, rośnie sobie powolutku, bez pośpiechu. Aż urośnie ile potrzeba, żeby Pan Bóg duszyczkę do niego przysłał.

— A kiedy Pan Bóg duszyczkę przysyła?

- A to już Pan Bóg wie najlepiej. Śpij Pograbek, śpij...
- Śpię Kuścyczka, śpię. A jak będzie potrzeba, to nawet czwarty raz pójdę do Stasiny umówić. Niech będzie umówione cztery razy. A pójdę.
- Pójdiesz?
- A, pójdę...
- Tak rozmawiając — zasnęli.

## 8

Tej nocy naszedł Pograbka sen. Zobaczył w nim wyraźnie, wyraźniutko, jak liche koniska z zapadłymi grzbietami, te wszystkie, które prowadzał na Górzysko — wychudłe, poochwacane, ale zdecydowane i uparte — pędziły go na Lisią Polanę. Na głowie założony miał kantar, między zębami pożółkłe kielzno, zaś na szyi postronek spleciony przez Szymorka ze Sługocic.

Na polanie zwierzęta otoczyły go kołem i ciasno wzięły między siebie. Miały spienione pyski, a każdemu sterczał z czoła nóż jak jakiemu jednorożcowi.

Pograbek krzyknął ze strachu i potem krzyczał coraz głośniejsze, aż się obudził — spocony i przerażony.

## 9

Dniało już dobrze. Miejsce przy nim było puste, a pierzyna wychłodła. Wstał szybko, włożył łapcie i podbiegł do okna. Od razu zobaczył Kuścyczkę: W koszuli nocnej sięgającej do ziemi i w świątecznych trzewikach, przechadzała się wzdłuż płotka — to w jedną, to w drugą stronę. Chodziła prościutko, wdzięcznie, prawie nie kulejąc. Przemawiała przy tym do kogoś wymyślonego, kłaniała się miękko, przekonywała o racjach. Ładna była jak nigdy. Pograbek uśmiechnął się do siebie. Postanowił zaraz po rannym obrządku pójść do Stasiny.

## 10

Jak postanowił, tak i zrobił. Już koło dziesiątej doczłapał się do Stasinowej chałupy. Stała na skraju wsi — niby niska i zwyczajna, ale w gruncie rzeczy okazała jak niejeden dworek sprzed wojny. Obejście było wycementowane. Nie rządziło tu błoto, tak jak w Pograbkowym gospodarstwie. Wszystko było wylicowane jak pod sznurek — obora, chlewik, wygódka. Zaszczekały brysie. W letniówce otworzyły się drzwi. Wyszedł z nich niski, łysy człowieczek po pięćdziesiątce — rzeźnik Stasina. Od razu zobaczył Pograbka, spojrzął na niego chytrymi oczkami i skrył się na nowo w letniówce. Pograbek nieproszony poszedł tam. Stasina rozbierał świnie. Wisiała u stropu rozpięta na orczyku, z dudami wywieszonymi na kadłub. Obok, w kącie lemiówki, dwóch niedorostków szykowało wiadra do odmulania flaków.

- Szczęść Boże przy pracy — zaczął nieśmiało Pograbek.
- Szczęść Boże — odpowiedział Stasina.
- Spory knur — ocenił Pograbek.
- A skąd tyś poznał od razu, że knur?
- Po zapachu. Jaja mu za późno wycięliście i mięso moczem zaszło.
- Moczem zaszło... Widzicie jaki mądry. Dwie setki świń pokrył, to byś nie wiadomo kiedy omisiał, a i tak go będzie trochę czuć.
- To mówię właśnie...

Zamilkli, bo oto drzwi do letniówki otworzyły się i pokazała się w nich młodziutka Julka. Było to kruche dziewczę, kurczak nieledwie, zabrany przez Stasinę z biedniackiej rodziny z Brzustowa do pomocy w gospodarstwie.

Spojrzała bystrym spojrzeniem, ogarnęła grzywę rudych włosów i weszła drobnym krokiem do letniówki. Była w zaawansowanej ciąży. Wielkie brzuszysko nijak nie pasowało do jej mikrej postaci. Pokręciła się trochę patrząc spode łba. Przetarła szmatką rzeźnicką stolnicę i już chciała wracać do chałupy, ale spotkała spojrzenie Pograbka. Patrzył z uśmiechem nie na jej twarz, tylko na brzuch. Julka szybko przerzuciła wzrok na Stasinę.

- Gadaliście już?
- Jeszcze nie — odpowiedział stary.
- To chodźcie do chałupy pogadać.
- Ale po co gadać — zaniepokoił się Pograbek — już dwa razy było umawiane. Po co tyle gadać na darmo? Już przecie dwa razy było...
- To idę wódki przybrać — przerwała Julka i kołysząc wielkim brzuchem wyszła z letniówki.

Usiedli przy stole postawionym u okna. Julka przetrzała ceratę i podała na stół co potrzeba. Wypili po pół szklanki mętnego bimbrow, przegryźli kiełbasą i ogórkiem. Pierwszy odezwał się Stasina:

— Powiedz ty mi Pograbe, ile ja na twoje oko mam lat?

— Ze czterdzieści sześć... — ocenił Pograbe.

— A jak pięćdziesiąt i sześć... to co, dobrze będzie?

— A co ty mu o latach opowiadasz?! — krzyknęła spod kuchni Julka. — A powiedz od razu, że nie sprzedamy i już! Po co człowieka zwodzić. Powiedz, że nie sprzedamy, bo jak ty nie powiesz, to ja zaraz sama powiem i już! A ty mu tam z latami wyjeżdżasz...

— No tak, no tak — posmutniał Stasina. — Odwidziało się jej, a prawdę mówiąc i mnie. Nie potrzeba dużo mówić Pograbe, kiedy można powiedzieć krótko: nie sprzedamy dziecka. Ożenię się z nią i będę chował jak swoje.

— No co wy?! — przestraszył się Pograbe — no co wy, przecie wszyscy wiedzą — cała wieś — że nie wasze...

— Będę mówił, że moje.

— No co wy, no co wy Stasina. A kto uwierzy? Przecie Julka znana z parzenia się...

— No, no! — odezwała się groźnie Julka spod kuchni. — Co to, ja kurwa jestem jaka?!

Zamilkli. Wypili nowe pół szklanki. Pograbe spróbował z innej beczki, na litość:

— Przecie miała niby wyjechać z pieniędzmi, a dziecko nam sprzedać. Tyle czasu pieniądze my zbierali z Kuścyczką, tyle czasu... Przecie miałaś — zwrócił się do Julki — do miasta, z pieniędzmi, do szkół... a dziecko nam zostawić. Dwa razy było umawiane. No powiedzcie Stasina, dwa razy było umawiane, czy nie?

— Ja już za chłopami latać nie będę — przerwała pojednawczo Julka. — Swoje lata mam. Ja już tam po wsi latać nie będę — upewniała. — A dziecko moje...

Zamilkli wszyscy troje. Pograbkowi zakręciło się we łbie od mocnego bimbrow, ciepło jakieś podeszło pod serce, rozmiękczyło...

Rozpląkał się w głos.

— A tak my się z Kuścyczką szykowali na to dziecko... Tak my się szykowali. Co ja teraz powiem? Źle wyszło Julka, źle wyszło... Dziecko niby twoje, ale nieszczęście nasze — moje i Kuścyczki. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie...

To powiedziawszy wstał od stołu, zatoczył się i z trudem doszedł do drzwi. Tam odwrócił się jeszcze do Julki i spróbował ostatniego sposobu:

— A jak by tak pieniędzy było więcej, no choćby dwa razy tyle?... — zapytał z nadzieją w głosie.

Julka nie odpowiedziała. Pokręciła tylko głową w taki sposób, że już Pograbe nie pytał więcej, bo i nie było po co pytać. Wyszedł z chałupy.

Wybiegł za nim zaraz Stasina. Podtrzymał za ramię i pomógł odprowadzić do furtki. Przy furtce zatrzymali się. Stasina chciał coś powiedzieć. Już miał to za zębami, na końcu języka — ale zatrzymał się. Nie powiedział. Zobaczył to Pograbe i chociaż pijany, przemówił trzeźwo:

— No mówcie, mówcie Stasina. Przecie widzę, że chcecie coś powiedzieć.

— Bez obrazy Pograbe, ale jest na to sposób.

— Niby na co?

— Na brzuch Kuścyczki.

— Eee, to już lepiej nic nie mówcie... Przecie wiecie, że ja mam nasienie za słabe. Tych tam, zaplenników za mało.

— Zaplenników za mało... Wielkie rzeczy... A mnie to niby kuśka staje? Przecie nie staje mi już parę lat.

— No, nie staje wam. I co?

— I dziecko będę miał, chociaż mi już parę lat nie staje. Rozumiesz?

— Coś tam zaczynam rozumieć.

— Julce przecież Materka z Popielaw brzuch wyrzycował. On do tego sprytny i na dodatek kawaler. Pójdź ty Pograbe do niego, jak u ciebie nasienie za słabe...

— No co wy Stasina? — obruszył się Pograbe. — Obcego chłopca mam na swoją Kuścyczkę położyć?

— Zaraz położyć. Sam przypilnujesz, żeby to nie dla przyjemności było, ale dla interesu. Rozumiesz?

— Coś tam niby zaczynam rozumieć... — odpowiedział niepewnie Pograbe. — Coś tam zaczynam rozumieć... — powtórzył.

Kuścyczka szykowała kartofle dla świń. Odląła wodę z sagana, wyrzuciła kartofle do koryta i zasypała śrutą. Teraz popłuła w dłonie, zatarła, chwyciła motyczkę i napała na nią z wprawą.

Pograbka zobaczyła, kiedy ocierając pot z czoła uniosła nieco głowę. Stał przy furtce. Nie miał odwagi podejść bliżej. Zrozumiała od razu. Nie trzeba jej było nic mówić. Zrozumiała od razu i od razu też zaczęła kręcić głową na znak, że się nie zgadza na taką nowinę. Rzuciła motykę, wpadła do chałupy, okręciła głowę chustką, wrzuciła na grzbiet zapaskę, sięgnęła do pudełka po landrynkach i wyciągnęła stamtąd zwitek banknotów. Wybiegła na podwórko. Jeszcze raz spojrzała na Pograbka. Opuścił głowę. Nie próbował nic powiedzieć ani zatrzymać Kuścyczki. Za mądry był na to. Dobrze wiedział, że zatrzymanie Kuścyczki, która patrzy takim wzrokiem — na nic się nie zda.

Kiedy zziąjana jak pies Kuścyczka wpadła do mieszkania Stasinów, Julka zajęta była akurat domowym obrządkiem. Stała przy kuchni i drewnianą kopyścią mieszała kaszę do kaszanki. Spojrzały na siebie. Julka była tą, która jako pierwsza opuściła wzrok i nie wiedząc co zrobić — wysmarkała się w fartuch. Kuścyczka tymczasem doszła do stołu. Usiadła nieproszona. Wyjęła z zapaski grosz, ściągnęła gumkę opasującą rulon i banknot po banknocie, setka po setce — zaczęła odliczać na głos:

— Sto, dwieście, osiemset, tysiąc trzysta, dwa pięćset, cztery osiemset pięćdziesiąt. Widzisz Juleczka, tylko sto pięćdziesiąt brakuje. Niedużo. Tyle było umawiane — pięć tysięcy. Przecież tyle było umawiane. To jak ty teraz, Juleczka? Jak ty teraz?...

Julka milczała. Jakaś łza zakręciła jej się koło nosa, to ją przetarła wierzchem dłoni, to jeszcze zakręciła kopyścią w garze — ale nie odezwała się.

— Ty Julka młoda jesteś... Tobie jeszcze przyjdzie rodzić a rodzić. Teraz tobie szkoły potrzebne w mieście, lżejsze życie, kino, kawiarnia... A gdzie ja pójdę z tym moim kulasem? Wszędzie palcem pokażą, wyśmieją, nawet kamieniem czasem rzucą... Gdzie ja pójdę? To dziecko bardzo, bardzo mi potrzebne. Słyszysz Juleczka? No słyszysz mnie? — dokończyła już z płaczem.

Drobne łzy puściły się jej z oczu, poleciały po policzkach, wysypały się na rozłożony grosz. I Julka nie wytrzymała. Też rozbeczała się i wytłumaczyła smarkając co chwila w fartuch:

— Ja nie mogę Kuścyczka. Serce by mi pękło z żalu. A pierdolić szkoły, a pierdolić kawiarnie, a pierdolić lżejsze życie. To małe w środku rusza się jak do niego mówię i pod rękę podpływa jak jaka rybka. Nie mogę Kuścyczka. Nie mogę kochana...

To powiedziawszy, Julka wzięła Kuścyczkę w ramiona i już we dwie spłakały się serdecznie, pocieszając jedna drugą. Kiedy już było po płaczu, Julka odezwała się rzeczowo:

— Jak tobie to dziecko tak potrzebne, to podłóż się Heńkowi Materce. U niego od pierwszego razu, a i jeszcze przyjemność będziesz przy tym miała. Dasz ze dwa tysiące, to mordę zamknie na zawsze i będziesz mogła mówić, że Pograbkowi choroba przeszła. Tak to można urządzić, że nikt nawet nie pomyśli...

Kuścyczka spojrzała groźnie. Przełknęła przemowę Julki i już nie spuszczać jej z oka, pozbierała rozłożone na stole pieniądze. Wyszła bez słowa.

Przyszedł wieczór zmozolony. Psy rozszczękały się na dobre. Pola poniosły dalekie echa. Było w nich z grubsza to samo, co w Pograbkowym życiu — jakieś smutki dalekie, jakieś zawołania ludzkie, jakieś niedole...

Siedzieli przy stole — Pograbek i Kuścyczka. Kobieta popiskiwała boleśnie wspomnieniem niedawnego płaczu, a może bardziej jego przyczyny. Nie mogła zboleć.

— Nie mogę zboleć — wytłumaczyła cicho.

— Umyjesz mnie? — zapytał nieoczekiwanie Pograbek.

— Wybierasz się gdzieś?

— Wybieram się.

— Jutro?

— Jutro.

— To cię wymyję.

— Nie ciekawaś, dokąd się wybieram?

— Do Popielaw?

— Właśnie. Do Popielaw.



— To może do Materki?

— Właśnie. Do Materki.

— To może względem mego zaciążenia?

Pograbek nie odpowiedział. Zamilkł na długo.

— Wody nastaw na kuchnię! Niech się grzeje! — krzyknął nagle i głośno wstał od stołu. — Jak masz mnie umyć, to najpierw wody nastaw, kobieto! Bez wody chcesz mnie myć?!

To powiedziawszy wyszedł zagniewany z izby, trzaskając przy tym głośno drzwiami.

## 16

Kuścyczka myła Pograbka, nucąc przy tym jakąś swoją melodię dziwnie miłym, miękkim głosem. Stał nagi w dużej, drewnianej balii pośrodku izby. Nad nim wisiała lampa naftowa. Światło pochwycone przez parę położyło się na Pograbku miękką smugą. Widać przez nią było, że choć marny w odzieniu — nago wyglądał lepiej, prawie mocarnie. Kuścyczka sięgała do balii, moczyła w wodzie miękką szmatkę, namydlała i śpiewając po cichu — myła męża.

## 17

Przyszła kolejna noc. Kuścyczka leżała tyłem do Pograbka pod siwą, odętą pierzyną. Nie spała. Wzdychała głośno, by zwrócić na siebie uwagę. Za którymś razem Pograbek odezwał się:

— No, co tam znowu?

— Nie śpisz?

— Nie śpię.

— Pamiętasz tę moją nocną koszulę z koronką u dołu?

— Pamiętam.

— To kupisz jutro w spółdzielni kopiowy ołówek.

— Niby po co?

— Narysujesz mi takie małe kółeczko na koszuli w jednym miejscu, to ja je wytnę nożyczkami i obrobię...

— Kupię jutro ołówek.

— A będziesz wiedział gdzie kółeczko narysować?

— Śpij już nareszcie...

— Jak byś nie wiedział, to możesz na mnie narysować...

— Śpij już...

— To śpię.

— To śpij.

## 18

W nocy przyśnił się Kuścyczce sen. Ustrojona w białą suknię aż do ziemi, obuta w trzewik podbity lipową deseczką i gumą — weszła do kościoła. Ale gdzie tam weszła... Wpłynęła jak chmurka na nieboskłon. Obróciły się na Kuścyczkę wszystkie spojrzenia. Twarze porozjaśniały się uśmiechami. Ludzie patrzyli, jak płynie między rzędami i jak za nią postępuje dumny Pograbek z niemowlęciem zawiniętym w zapaskę.

Kiedy się obudziła, Pograbka już nie było w obejściu.

## 19

Heniek Materka był wysokim, barczystym mężczyzną o sztubackim spojrzeniu i rękach twardych jak imadła. W wolnych chwilach zajmował się kowalstwem. Miał do tego celu przysposobioną niewielką szopkę przy obejściu, z podcieniem, pod którym stało palenisko, kowadło i przyprzązka do koni. Kiedy na drodze, jakieś dwadzieścia metrów od szopki pojawił się Pograbek, Heniek zajęty był akurat hartowaniem podkowy.

Wyjął ją klapcami z ognia, podklepał niedużym młotkiem i rzucił do wiadra z wodą. Zasyczało, zabulgotało, zaparowało. Heniek chyba się uśmiechnął, ale z daleka nie było widać dokładnie. Za to widać było jak Pograbek korzystając z tego, że przy Heńku nie ma teraz akurat nikogo — przybiegł szybko do kuźni. Potem wszystko poszło pomyślnie. Pogadali na stojąco jak chłop z chłopem, ścisnęli sobie ręce, Heniek wrócił do podkowy, a Pograbek na drogę. Nie skończyło się tak. Coś Materce strzeliło do głowy, bo dogonił Pograbka, zabrał się do niego jak do baby na zabawie i zmusił biedaka do odtączenia na drodze paru kólek oberka. Na

koniec Pograbeek wyrwał się, rozglądając czy kto nie widział i oddalił szybko. Tak skończyła się jego rozmowa z Heńkiem Materką.

## 20

Zaraz za Popielawami natknął się na Kaczubinę, synową starego Kaczuby. Było to kobiecisko chude, z płaską piersią i złym spojrzeniem. Już z daleka zakrzyczała jak na odpuście:

— Pograbeek! A to ja od was właśnie biegnę!

Kiedy tylko się zrównali, Kaczubina wybuchnęła fałszywym płaczem.

— Nieszczęście Pograbeek! Teściu się obwiesili... Obiecywali, obiecywali, aż na koniec — popatrz sam — dotrzymani...

Pograbeek przerwał gwałtownie:

— Gdzie? Powiedz kobieto gdzie? To chcę na razie wiedzieć!

Kaczubina otrzeźwiała nagle. Odezwała się ze złością:

— Gdzie... gdzie... Aż koło Górzyska go zaniósł! Na złość ostatnią! A tam same moczary i ostrężyny.

— Kto znalazł?

— Leśni, pilarze znaczy się. Mówią, że na pięćdziesiąt metrów od niego śmierdziało i nogi miał już podechlane przez lisy. Tylko ty Pograbeek możesz go stamtąd przywieźć. Zapłacę dobrze.

— Ile zapłacicie?

— Sto dwadzieścia.

— Tyle to mi za konia płacą.

— Sto trzydzieści.

— A trzeba mu było kieszenie zaszywać?

— Dam sto pięćdziesiąt — zakończyła Kaczubina targi i szybkim krokiem oddaliła się.

Pograbeek nie ruszył się z miejsca.

— A ogolę sam. Mam zapłacone... — powiedział do siebie i dopiero wtedy poszedł.

## 21

Kuścyczka już czekała przy rogu chałupy. Obok stał ich koń — gniady, wypasiony wałach z lśniącymi bokami. Miał na sobie lekką pasową uprząż, napierśnik zamiast chomąta i derkę w miejsce siodła. Na kłębie zamontowała mu Kuścyczka worek z obrokiem oraz parcianą torbę z jedzeniem dla Pograbka.

Nie spojrzeli na siebie — Pograbeek i Kuścyczka. Nie zamienili słowa. Chłop obsprawił konia, podociągał pasy, chwycił za uzdę, odwrócił zwierzę łbem w kierunku Górzyska i cmoknął głośno. Ruszyli z koniem. Uszli zaledwie kilka kroków, kiedy Kuścyczka zatrzymała ich wołaniem:

— Pograbeek!...

— No, co tam jeszcze?... — zapytał Pograbeek i wstrzymał Gniadego.

— Ołówek kopiowy... Zapomniałeś?

Chłop nie odpowiedział. Sięgnął za pazuchę, wydobyl z kieszeni ołówek i nie oglądając się na Kuścyczkę, wyciągnął za siebie rękę. Kobieta podbiegła. Powoli wysunęła ołówek z palców Pograbka, a potem nieoczekiwanie padła na kolana i przyssała się ustami do dłoni męża. Pograbeek zdumiał się. Wyrwał rękę jak oparzony. Nie wiedząc, co powiedzieć, powiedział głupio:

— No co ty, Kuścyczka... no co ty? To przecież tylko ołówek...

To powiedziawszy cmoknął na Gniadego. Ruszyli od nowa. Kuścyczka podniosła się z kolan patrząc w plecy Pograbka. Po dłuższej chwili odwróciła się w kierunku chałupy. Dopiero wtedy — czując to — Pograbeek otarł łzę podwieszoną do nosa, głośno wciągnął smarki, charknął i odezwał się do myśli:

— Wielkie rzeczy... Wielkie mi tam rzeczy... Widziało się w życiu to i tamto...

Wkrótce odeszli daleko od Pograbkowych zabudowań, przylgnęli do bruzd polnych, przepadli z widoku.

## 22

Kuścyczka zabrała się do roboty. Było już sporo po południu. Przyszedł czas zawierania drzwi i zapalania lamp. To uczyniwszy, uprzątnęła Kuścyczka stół, rozłożyła na nim koszulę nocną obrobioną koronką u dołu, wygładziła materię do równa, wymierzyła miejsce, przyłożyła na nie garnuszek denkiem do góry, naśliniła czubek kopiowego ołówka, objechała nim po garnuszkowym okręgu, sięgnęła po duże nożyce, nakłuła materiał czubkiem i miękkim ruchem wycięła naznaczone kółeczko. Wyszło zgrabne i okrągłe — takie, jakie miało wyjść.

Zmierzchało, kiedy Pograbek i Gniady dotarli na wysoką polanę w pobliżu Górzyska. Byli zmęczeni. Jednemu i drugiemu zmiękły nogi, skrócił się oddech i zapotniała skóra.

— Tu przenocujemy — powiedział Pograbek do Gniadego.

Zdjął z kłębu worek z obrokiem, zarzucił sznurek na szyję, pomógł koniowi trafić pyskiem do żarcia.

Nie minęło wiele czasu, kiedy ćmok zawiesił się nad lasem. Tu i tam zabłyszczały oczy lisów, kun i innej zwierzyny. Popatrzyły, poznały Pograbka, poczekały na wezwanie. Kiedy się nie doczekały, zrozumiały, że tej nocy nie będą im ciążyły brzuchy. Bezgłośnie pozapadały się w nory, w pnie drzew i poszycie.

Pograbek siedział przy ognisku opatulony w wełnianą derkę. Obok stał Gniady. Nad nimi jak gwiazda zaranna wisiała na gałęzi oborowa latarka na naftę. Pograbek kołysał się i pogwizdywał po cichu dla dodania sobie odwagi. Gniady coraz to stawiał uszy i parskał do melodii. W którejś chwili doszło Pograbka stłumione zapytanie gdzieś zza pleców:

— Pograbek, ty na szczęście... Po moje truchło idziesz...

Pograbek stęzał. Nie podniósł się ani nie odwrócił. Zesztywniał tylko i z tego zesztywnienia odezwał się nieswoim głosem:

— Kaczuba... Wy?

— A niby kto inny?

— Kaczuba, nie straszcie...

— Nie straszę... Pograbek, tylko pogadać chciałem. Gdzie tam mi straszenie w głowie... Widzisz mnie Pograbek?

Pograbek rozglądął się zalękniony.

— Nie, nie widzę was, ale słyszę dobrze...

— To podejść do ognia i usiąść przy tobie. To jak, mogę podejść?

— Podejdźcie Kaczuba. A pierdołę, najwyżej się w gacie sfajdam. Najwyżej...

— To podchodzę.

— Z której strony podejdziecie?

— Od lewej ręki.

— To podejdźcie. No jak, podchodzicie?

— Już stoję koło ciebie Pograbek. Jaki metr od ciebie.

— To może usiądziecie. Lżej wam będzie...

Kaczuba roześmiał się w głos.

— Lżej? Przecie mi Pograbek leciutko — czy stoję, czy siadę.

— To już tam róbcie jak chcecie — powiedział Pograbek niepewnie.

— To usiądę. O, już siedzę... niedaleko.

Pograbek uspokoił się trochę. Sięgnął po papierosy.

— Zapalicie? — wyciągnął rękę w lewą stronę, w miejsce, z którego dochodził głos Kaczuby.

— Nie, nie zapalę. Próbowałem... Żadnego smaku nie czuję. Właściwie to względem tej brzozy chciałem pogadać. Jak jutro zobaczysz, na brzozie się powiesiłem, ale głupio... Na grabie by poszło lepiej. Podgięła się ta brzoza za dużo, umęczyła mnie z pół godziny, zanim dusza ze mnie wyszła... A wiesz ty Pograbek, którą dusza wychodzi?

— Którędy?

— Aż wstyd mówić... Nie powiem, bo aż wstyd mówić, którym otworem dusza z człowieka wychodzi.

Zamilkli na długo.

— Kaczuba? — odezwał się Pograbek.

— No...

— Powiedzcie dokładnie, gdzie się powiesiliście, żebym nie szukał za długo...

— Nie ma co mówić Pograbek. Lisy cię doprowadzą. Zechlały mi nogi do kostek przez tę brzozę. Aż żał było patrzeć. To pójdę już Pograbek.

— Dokąd pójdziecie Kaczuba?

— Najpierw tę sukę synówkę postraszę. Niech się tam zesra w pierzynę... a potem...

— A potem?

— A bo to ja wiem, Pograbek? A bo to ja wiem... dokąd

Pograbek obudził się nagle. Wstawał dzień. Światło przedarło się już do polany. Ogień płonął dalej, zaś obok nanosił ktoś górę gałęzi.

— Jakie to sny nachodzą człowieka ze strachu — powiedział niepewnie.

## 25

Kiedy Materka zastukał w okno, Kuścyczka spała jeszcze leniwie pod pierzyną.

— Kto tam? — zawołała ledwie przebudzona.

— Heniek Materka! — usłyszała w odpowiedzi. Usiadła szybko na łóżku, pozbierała szybko myśli i potem bez porządku zabrała się do ubierania.

— Tylko się ubiorę! — zawołała przy wzuwaniu butów.

— I tak się będziesz zaraz rozbierała... — powiedział Heniek do siebie, oparł się plecami o ścianę i zapalił papierosa.

Kuścyczka otworzyła drzwi. Widziana od strony Heńka, stanęła w nich — niby ta sama, ale trochę odmieniona. Włosy miała spięte za głowę, twarz zarumienioną i opuszczone spojrzenie. Dużo czasu minęło, nim odważyła się spojrzeć do góry. Kiedy zobaczyła czerstwą, uśmiechniętą twarz Heńka przyozdobioną białymi zębami — zarumieniła się jeszcze bardziej.

— A co to jaśnie panienska się tak rumieni? — zapytał Heniek dowcipnie. — Czy to ja pierwszy kawaler, który tu zachodzi?

To mówiąc przekroczył próg, odsuwając Kuścyczkę delikatnie na bok. Rozglądnął się po mieszkaniu.

— Widać gospodynię. Ho, ho — jeszcze jak widać... Szczęściarz z tego Pograbka. Sam nie wie co ma. Gdzieś ty się podziewała, że to nie ja pierwszy cię znalazłem?

— Eee, żartuje sobie pan, panie Heńku ze mnie... — odpowiedziała Kuścyczka i złożyła dłonie na podolku.

Materka tymczasem rozglądał się dalej. Podeszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i nie oglądając się, zapytał:

— A Pograbek?

— Kaczubę poszedł zdjąć.

— A, Kaczubę... To pewnie do wieczora mu zejdzie?

— Pewnie zejdzie... — potwierdziła Kuścyczka. Materka odwrócił się.

— Kuścyczka... Tak na ciebie wołają?

— Tak.

— A jak ty właściwie masz na imię?

— Anna.

— Anna. Ania... śliczne imię. Zaraz coś dorymujemy. Zamyślił się.

— Jasnowłosa Ania na chłopaka czeka,

więc przybywa do niej kawaler z daleka.

Dobra do roboty, lepsza do kochania —

znalazła kochasia jasnowłosa Ania.

— Pan wierszem mówi, panie Heńku... — zachwyciła się Kuścyczka.

— A skończ już z tym panem Heńkiem — powiedział Materka, wyjął zza pazuchy flaszkę wódki i podeszedł do Kuścyczki. Ukucnął przy niej, spojrzął głęboko w oczy, zarecytował:

— Mówić wierszem to nie sztuka,

kiedy serce rymu szuka.

Tylko z wszystkich najpiękniejsza

jest naprawdę warta wiersza.

— Podasz dwa kieliszeczki? — dokończył nie spuszczając wzroku z Kuścyczki. Nie zareagowała. Siedziała dalej, wciśnięta w stołek przez nagle gorąco i wzruszenie.

— Kieliszeczki dwa... Musimy brudzia przepić, żeby skończyć z tym... panie Heńku...

Kuścyczka oprzytomniała. Szybko wstała, obciągnęła sukienkę, podeszła do kredensu, wyciągnęła kieliszki i postawiła je na stół.

— Tylko jajecznicy jakiejś zrobię — powiedziała, starając się unikać wzroku Materki. Materka nie pozwoliła jej odejść. Postawił flaszkę na stole, przyciągnął Kuścyczkę do siebie tak, że poczuła na twarzy jego oddech i powiedział miękko głosem:

— Wszystko może poczekać,

nawet Bóg na niebie,

kiedy ja, Heniek,

chcę przepić do ciebie.

No — mruknął niezadowolony — to trochę gorzej wyszło...

To powiedziawszy puścił Kuścyczkę i nalał wódkę do kieliszków. Jeden wziął dla siebie, drugi podał Kuścyczce. Założyli rękę za rękę, wypili pomalutku, patrząc sobie w oczy.

— Heniek jestem.

— Anna... Ania — poprawiła się Kuścyczka, zamknęła oczy i podała pierś do przodu. Na to czekał Materka. Przyciągnął biedaczkę do siebie, zamknął ją w mocnym uścisku, odchylił do tyłu i wpiął się ustami w usta — soczyście, na długo. Wyrwała się z trudem i nie wiedząc, co zrobić, odeszła kilka kroków w głąb izby. Odezwała się nie odwracając:

— Mówią, że pan... że ty, Heniu przyśpiewujesz tak pięknie. Przyśpiewasz dla mnie?

Na to nie trzeba było Materki namawiać. Założył jedną rękę za głowę, podparł się drugą pod bok i zaśpiewał mocnym głosem:

— Olaboga, co się stało?

Pod fartuszkim pękło ciało!

Ni to zaszyć, ni załatać,

ni też z taką dziurą latać...

Kuścyczka roześmiała się uszczęśliwiona. Wódka rozebrała ją szybko, w mig odeszły od niej zawstydzenie razem ze strachem. Zabłyszczały oczy Kuścyczki. Ucieszyło się serce.

— Jeszcze, jeszcze Heniu... — poprosiła cicho.

— Moja matuś, był tu, był tu.

Chciał pożyczyć chyłtu, chyłtu.

Moja córuś, dać mu było —

przecie by ci nie ubyło...

Materka zmęczył się trochę. Podeszedł do Kuścyczki, zniżył głos do szeptu:

— A teraz będzie taniec, w którym Heniek przytuli Anię.

Co powiedział, to uczynił. Przytulił Kuścyczkę do siebie, zamruczał melodię, zakręcił się wolniutko, pocałował w usta. Kuścyczka nie walczyła. Podała się miękko, wdzięcznie.

## 26

Dzień poszedł do przodu o parę godzin. Niebo przetarło się i porozjaśniało czubki świerków, grabów, buków i sosen. Zaczął się ruch na poszyciu. Poszła po lesie zwierzyna — mała i duża.

Pograbek wracał z Kaczubą. Trup owinięty szczelnie derką, przewiązany postronkiem jak baleron i rzucony w poprzek na grzbiet Gniadego — kołysał się miarowo, obijał o końskie boki.

Pograbek szedł z głową przy pysku konia. Trzymał za uzdę króciutko i sztywno, by panować nad każdym krokiem. Krzywił się. Mimo derki, mimo szczelnego zawinięcia, trup musiał bardzo śmierdzieć. Pograbek splunął.

— Za taki smród?... Nie, sto pięćdziesiąt — za mało. Za taki smród najmniej dwieście wezmę — powiedział.

— Tak, dwieście — upewnił po chwili. Zatrzymał się nagle. Po czubkach drzew, kołem, poszło miarowe stukanie czarnego dzięcioła. Zadarł głowę.

— To chyba na szczęście... — powiedział po dłuższym czasie.

— Nie wiem. Pierwszy raz, nie wiem...

## 27

W Pograbkowym mieszkaniu zakończyły się zaloty. Heniek Materka siedział na ławce w kuchni, oparty plecami o ścianę, w której były drzwi do sypialni. Nucił coś pod nosem, uśmiechał się do siebie, pociągał z butelki, stukał ciężkim butem o podłogę.

Wesoło mu było.

Kuścyczka przebierała się. Widać ją było przez otwarte drzwi — dalej, w głębi sypialni. Zdjęła spódnice, złożyła równo, przewiesiła przez poręcz krzesła. Podobnie uczyniła z resztą garderoby. Kiedy została tylko w majtkach, sięgnęła po nocną koszulę przysposobioną do spędzenia nocy z Materką. Założyła ją na siebie, wygładziła wzdłuż ciała i dopiero wtedy niezgrabnie zdjęła majtki. Wyciągnęła je spod koszuli, schowała pod poduszkę i cichym, drżącym głosem zawołała Materkę:

— Już Heniu... już jestem gotowa...

Usłyszał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, zabłyszczał rzędem białych zębów i bez ociągania poszedł do sypialni.

Na początek przytulił się przodem do stojącej tyłem Kuścyczki, odgarnął włosy, pocałował w kark, potem zaszedł od przodu i spojrzał niżej. Twarz mu się zmieniła w jednej chwili. Najpierw pokazało się na niej

zwyczajne zdziwienie. Kiedy zdziwienie minęło, przyszła pora na śmiech. Heniek aż zakrztusił się. Chciał wytrzymać, żeby nie robić przykrości Kuścycdze — ale nie wytrzymał. Buchnął głośnym, serdecznym śmiechem, aż kobiecisko zmieszało się, skrzywiło do płaczu, rozpląkało, zakryło dłońmi śliczne kółeczko i rzuciło twarzą na pierzynę.

Heniek uspokajał się z trudem. Jego dźwięczny śmiech mieszał się jeszcze przez chwilę z płaczem Kuścyczki. Na koniec zamilkli prawie jednocześnie. Heniek ruszył do Kuścyczki.

## 28

Wieczór przyszedł pogodny. Wiatr przegonił chmury nad inne wsie. Pograbek zbliżał się do swojego obejścia. Postępując ciężkim krokiem już nie z przodu, a za koniem, popatrywał co jakiś czas przed siebie. Wypatrywał dymu z komina, albo chociaż jakiegoś ruchu na podwórku. Na darmo. Nie było dymu z komina, nie było nikogo na podwórku. Przyśpieszył kroku, dogonił pysk Gniadego, pociągnął za uzdę, aż kielzno wypchnęło na bok koński ozór.

Wkrótce byli na podwórku. Z budy wychynał zdziwiony pysk Burka. Psisko nie uradowało się tak, jak to miało w zwyczaju. Popatrzyło tylko ze smutkiem, jakby chciało powiedzieć: „nie dopilnowałem” i schowało się na powrót do budy. Wrótnie od obory były rozwarte. W środku nie było krowy. Został tylko parujący gnój i trochę siana w paszniku.

Pograbek wszedł do izby. Starczyło chwili, by zrozumiał. Zobaczył talerze po jajecznicy, zobaczył pustą butelkę i kieliszki. Poszedł do sypialni. Na łóżku nie było pierzyny ani poduszki, ani nawet ozdobnej kapy. Wszystko poszło z Kuścyczką do Materki. Pograbek usiadł na łóżku, skurczył się, pomniejszył się w sobie i rozpląkał w głos.

## 29

Tej nocy ogolił Kaczubę. Nie przeszkadzał mu smród, zresztą trupa obłożono lodem i śmierdział już trochę mniej. Pograbek ciągnął brzytwą raz za razem. Ktoś przyświecał mu naftową latarką, kto inny popłakiwał dla formy. Z drugiej izby dochodził piskliwy śpiew staruch. Za oknem dośpiewywały psy nie nawykłe do takich melodii.

Ze ściśniętym gardłem, z mgłą na oczach — Pograbek golił Kaczubę za pięćdziesiąt złotych.

## 30

Obudził się nad ranem. Tu i tam odzywały się już ptaki, pełną piersią chwaliły się koguty, krowy skarżyły się na ciężące wymiona. Było jeszcze ciemno. Zaskrzypiało okno. Pograbek spojrział tam i zeszywniał. Oto okno samo z siebie, wolniutko otworzyło się i do izby napłynęła mgła. Za mgłą poszedł zaraz głos Kaczuby:

— Kręcę się Pograbek po swoich stronach, łażę tu i tam i nijak mi odejść... Nieprawdę mówią, że po śmierci spokojniej, ale swoją drogą, to nie za dobrze mnie Pograbek ogoliłeś, nie za dobrze...

— Skóra wam już się rozchodziła na szyi, Kaczuba... — usprawiedliwił się Pograbek.

— Co ty mi tu pierdolisz Pograbek o skórze... Myślami byłeś gdzie indziej i ręką gdzie indziej, to ochemdałeś tylko po wierzchu. Tam, skóra... Ręka nie słuchała głowy, to już nie pierdol o skórze jak komu obcemu.

— Przecież wiecie, Kaczuba. Przecież wiecie, co się zrobiło... — usprawiedliwił się Pograbek już inaczej.

— Kuścyczka?...

— No, Kuścyczka i ten tam... Materka.

— To idź i odbierz Pograbek — twoje przecież... Twoja kobieta, twoja krowa, to nad czym tu myśleć? Idź po swoje.

— Racja. Pójdę, odbiorę i jeszcze mordę obiję, jak jakiej suce!

— A obij Pograbek, obij. Twoje prawo, mordę obić jak suce.

— To pójdę zaraz.

— To idź Pograbek, idź.

## 31

Pograbek obudził się nagle drugi raz i nie wiedział, czy to drugi, czy może dopiero pierwszy.

Spojrział w okno. Dniało któryś już raz. Podniósł się z łóżka z mocnym postanowieniem odebrania swojej własności.

— Wiem, co nie jest moje, ale też wiem, co jest moje — powiedział do siebie upewniając się w decyzji.

## 32

Kiedy zbliżył się do zabudowań Materki, jazgotliwe psy wywołały gospodarza. Wszedł w podkoszulku i oparł się plecami o framugę. Pograbeł zatrzymał się parę kroków od niego. Miał w oczach takie spojrzenie, że nawet Heńkowi przeszło mrowie po grzbiecie.

— Ładny dzień. Teraz to już wiosna pójdzie... — odezwał się głupio.

Pograbeł nie wszedł w rozmowę. Dalej nie spuszczać Materki z oka sięgnął za pazuchę, po mały, ostry scyzoryk. Otworzył go.

— Trzydzieści siedem razy otwierałem koniom żyły na szyjach, dwadzieścia cztery razy otwierałem krowom żyły na szyjach. Można powiedzieć, że wprawiony jestem w upuszczaniu juchy... Jeden ruch starczy. Ty nie patrz Materka, że ja słaby jestem i nikomu dotąd krzywdy nie zrobiłem. Nie zrobiłem, to zrobię. Ty się na to Materka nie oglądaj...

Materka nie odpowiedział. Krzywy uśmiech zszedł mu z gęby. Splunął papierosem i zniknął w chałupie. Za chwilę poleciały przez otwarte drzwi: pierzyna, poduszka, ozdobna kapa na łóżko i na koniec wypchnięta z siłą Kuścyczka. Kobieta przewróciła się, ale zaraz wstała szybciotko i bez słowa — pochlipując jedynie pod nosem — zabrała się do wiązania rzeczy w tobolek. Kiedy była z tym gotowa, poszła do obory po krowę.

Pograbeł nie drgnął nawet. Prowadził spojrzeniem każdy ruch Kuścyczki, ale nie postąpił z miejsca ani na krok. Na koniec były gotowe — Kuścyczka i krowa z tobołem na grzbiecie. Ruszyli do chałupy.

## 33

Wyszło słońce i strzeliło w las. Zaparowało poszycie. Mgła uczepliła się światła i poniosła smugami. Pograbeł z Kuścyczką wracali do domu.

Chłop szedł przodem, parę kroków za nim kuścikała Kuścyczka ciągnąc na postronku krowę. Było cicho, jeżeli nie liczyć zwykłego gadania lasu. W tej ciszy jakoś dziwnie zabrzmiał głos Kuścyczki:

— Zapomniałam się, Pograbeł... Otumanił mnie ten Materka... Zapomniałam się — powtórzyła ciszej.

Pograbeł nie odpowiedział. Zbierał w sobie słowa, by w takiej chwili odezwać się specjalnie mądrze. Po chwili zapytał:

— A czym to znowu tak cię otumanił?...

— Wierszem mówił tak zgrabnie i tak jakoś miękciutko...

Pograbeł nie wytrzymał. Stał. Począł, aż Kuścyczka przybliży się trochę.

— Bił będziesz? — zapytała, kiedy zatrzymała się przed nim.

Nie odpowiedział po raz kolejny, wziął tylko zamach i uderzył na odlew, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Kiedy upadła, zamierzył się buciorem w brzuch.

— Nie po brzuchu! Pograbeł! — krzyknęła rozpaczliwie. — Nie po brzuchu!

Zatrzymał się, oprzytomniał, obrócił i poszedł dalej. Po chwili, po wstaniu — ruszyła za nim Kuścyczka ciągnąc krowę.

Minał jakiś czas, przez który nie działo się nic, jeżeli nie liczyć tego, że Pograbeł z Kuścyczką i krową szli drogą przy lesie. Po tym czasie Pograbeł odezwał się, ale innym, bardziej miękkiem głosem:

— Jak będzie taka potrzeba

żeby zamiast kielbasę,

wiersz dawać do chleba —

to zrymuję czasem...

Kuścyczkę zamurowało.

— Ty wierszem się odezwałeś, Pograbeł...

Pograbeł wzruszył ramionami.

— Wierszem, wierszem... Wielkie rzeczy! Jak trzeba, to się wierszem mówi...

Tak idąc, doszli wkrótce do domu.